

Janusz M. Lewandowski

## Nigdy więcej Westerplatte

---

Na trasie moich wędrówek po Polsce znalazł się tego lata Gdańsk – *starożytne* miasto, port morski o wielkiej i długiej historii, jedno z najbardziej fascynujących miejsc znajdujących się na wybrzeżu południowego Bałtyku. Miasto stworzone przez Krzyżaków, Polaków, Kaszubów, mistrzów z Niderlandów i Flandrii, kupców i rzemieślników z Niemiec oraz Prus Wschodnich stało się niezwykłym tygłem kultur i narodów, dzięki którym dziś z zachwytem możemy patrzeć na bajeczne kamieniczki przy Długim Targu czy Pivnej, z wielkim respektem dla geniuszu sztuki architektonicznej i budowlanej oglądać bazylikę Mariacką, zachwycać się wystrojem wewnątrz Dworu Artusa i Ratusza Głównego Miasta. Przez wieki kolejne pokolenia patrycjuszy gdańskich budowały cierpliwie potęgę tego miasta, przekazując z pokolenia na pokolenie głębokie przekonanie o tym, iż gospodarność, pracowitość, pobożność, umiejętność pomnażania dóbr, cierpliwość, umiłowanie i szacunek dla pracy są najwyższymi wartościami nadającymi człowiekowi sens życia.

Historia Gdańska (Danzig) to historia wzlotów i upadków, przy czym tryumfów było zdecydowanie więcej niż klęsk, co też świadczy dobrze o mądrości, zapobiegliwości i męstwie mieszkańców. Podlegając ciśnieniu różnych kultur i narodów, miasto potrafiło zachować swój charakter, umożliwiający rozwój Niemcom, Polakom, Żydom – silnym żywiołom, które dzięki swej różnorodności dokładały kolejne cegiełki do wielkiej wspólnej budowli, stale bogacącej się finansowo, ale także kulturowo. W tym kontekście nie może zatem dziwić, iż to właśnie tutaj Izaak van den Blocke stworzył wielkie dzieło zatytułowane „Apoteoza Gdańska”, będące wyrazem wiary w jego idealną konstrukcję, wyjątkowość oraz szczególną opiekę, jaką Bóg nad nim rozacza.

Ostatnie stulecie nie było najszcześniejszym dla Gdańska. Początkowo – na mocy decyzji zwycięskich mocarstw Wielkiej Wojny – zostało Wolnym Miastem, anachronicznym tworem znajdującym się w granicach Rzeszy Niemieckiej, ale zarządzanym przez Wysokiego Komisarza Ligi Narodów. Taka decyzja moźnych niczego nie załatwiła, co więcej pozostawiła puszkę Pandory, której otwarcie 20 lat później doprowadziło do kolejnej światowej katastrofy. Odmowa włączenia miasta do Rzeszy stała się dla Hitlera pretekstem do podjęcia działań agresywnych wobec Polski, ta z kolei za punkt honoru postawiła sobie obronę tego, co i tak do niej nie należało. Jakie były skutki tego splotu wydarzeń, wiemy aż nadto dokładnie – Europa nie chciała ginać za Gdańsk, szkolny pancernik „Schleswig Holstein” zaatakował bazę na Westerplatte, a Niemcy hitlerowskie przy współudziale sowieckiej Rosji w 1939 r. zmiotły z mapy „wersalskiego bękarta”, by później wespół dokonać największej rzezi na tym dumnym narodzie. Do 1945 r. byliśmy – nie tylko zresztą my – świadkami, uczestnikami i ofiarami największej hekatombi, zbrodni dokonanej w imię

okrutnych ideologii, wojny totalnej prowadzonej wszelkimi dostępnymi środkami dla wyniszczenia kilkudziesięciu milionów mieszkańców Europy i innych kontynentów.

Gdy ów straszliwy konflikt dobiegał końca, Gdańsk stał się ponownie areną zmagañ wojennych. Tym razem skala zniszczeń przeszła wszelkie ludzkie pojęcie – Główne Miasto legło całkowicie w gruzach na skutek alianckich bombardowań oraz sowieckich aktów barbarzyństwa, dokonywanych zgodnie z zasadą – nie wiadomo, czyje będzie miasto, ale wróg może odziedziczyć tylko gruzy i zwaliska. W ostateczności Gdańsk znalazł się w granicach nowego państwa polskiego jako dowód zadośćuczynienia za straty terytorialne na Wschodzie – łaskawy dyktator sprezentował Polakom Gdańsk, Kołobrzeg, Koszalin, Szczecin, Wrocław i Opole, jednocześnie na zawsze odwracając nasz wzrok od Kresów Wschodnich.

Współcześnie raz jeszcze nazwa Gdańsk pojawiła się na ustach całego świata za sprawą strajku stoczniowców i powstałego tam pierwszego w krajach bloku wschodniego niezależnego związku zawodowego Solidarność. Tym razem mówiło się o bezkrwawej rewolucji i jej przywódcy Lechu Wałęsie. Dziś Solidarność powoli przechodzi do historii, funkcjonuje raczej jako mit, symbol nieugiętej walki narodu polskiego z komunistycznym systemem, zniewalającą sowiecką opresją. Wiele spośród 21 postulatów strajkowych jest już tylko świadectwem czasu minionego, tylko nieliczne pozostaną jako drogowskazy na przyszłość.

O tym wszystkim myślałem, chodząc po gdańskiej starówce, zaglądając do historycznych wnętrz, poznając ślady burzliwej historii miasta. Myślałem o tym wtedy, gdy spacerowałem po terenach dawnej składnicy na Westerplatte, czytając opisy na tablicach informacyjnych przy ruinach koszar, siedząc przy monumencie wzniesionym w czasach PRL-u. Myślałem o tym wszystkim wreszcie wtedy, gdy patrzyłem na napis „Nigdy więcej wojny” umieszczony tutaj w celach propagandowych przez *miłośników pokoju i socjalizmu* z lat 60. ubiegłego wieku. Przypomniałem sobie cały zestaw podobnych pustych haseł o pokoju, internacjonalizmie, umiłowaniu wolności zawieszonych na placach dużych miast i małych miasteczek Polski Ludowej, haseł, które klajstrowały brak wolności, solidarności i pokoju. Perfidnie zaś brzmiały w kontekście interwencji wojsk Układu Warszawskiego na Węgrzech, w Czechosłowacji czy Afganistanie.

Zamiast hasła „Nigdy więcej wojny” – pomyślałem – powinno tu wisieć hasło „Nigdy więcej Westerplatte”. Niby podobne, a jakże inne, o czym za chwilę.

\*\*\*

Moje myślenie o Westerplatte, Gdańsku, o Polsce związane jest z lekturą książek o tematyce historycznej, które wydane zostały w ostatnim czasie, a które wywołały niemałe zamieszanie wśród historyków i publicystów. Chodzi o „Pakt Ribentrop-Beck” i „Obłęd 44”

Piotra Zychowicza oraz „Jakie piękne samobójstwo” Rafała Ziemkiewicza. Na boku mam także niezwykłą relację Józefa Mackiewicza z miejsca katyńskiej zbrodni zatytułowaną „Katyń. Zbrodnia bez sądu i kary”, „Warszawa 1944” Alexandry Richie oraz „Czarną księgę Kresów” Joanny Wieliczka-Szarkowej. Choć książki te mówią o różnych wydarzeniach z naszej dwudziestowiecznej historii, łączy je stosunek do polskiej tradycji narodowej i jej najważniejszych symboli – września 1939, zbrodni katyńskiej, Kresów Wschodnich i Powstania Warszawskiego. Właśnie refleksja o wydarzeniach rozpiętych pomiędzy rokiem 1939, a 1944 jest dla mnie najistotniejsza, bo historia głęboko przemyślana – a nie tylko przeżyta – jest warunkiem przyszłych sukcesów.

Wymienione książki wiele różni, ale wszystkie one są „narracją o wojnie, szaleństwie i cynizmie” [to podtytuł książki Ziemkiewicza]. O patriotyzmie rozumianym jako gotowość do złożenia ofiary całopalnej z najlepszych synów i córek narodu na ołtarzu wolności i honoru nawet wtedy, gdy nic nie wskazuje na możliwość odniesienia sukcesu, wbrew opiniom i nawoływaniu ludzi mądrych, ku uciesze wrogów rozważi i zdrowego rozsądku. Leżące przede mnie książki mówią o tych wszystkich, którzy powtarzają o Powstaniu Warszawskim w patriotycznym i bogoojczyźnianym szaleńczym zapale: „Nie ma dla mnie znaczenia, czy powstanie było z bojowego, militarnego punktu widzenia słuszne czy nie. Nie ma znaczenia, czy mogło odnieść sukces czy nie. O wiele istotniejsze jest bowiem to, że powstanie przypomniało, że my Polacy najbardziej kochamy wolność, że nie damy się zgnieść nawet twardej geopolityce. Ale też, że wiemy, że są takie momenty, gdy trzeba oddać życie, by zachować twarz. Te wartości, tę świadomość, że czasem Bóg wzywa nas do ofiary, że czasem prawda, wolność, Ojczyzna, Bóg są ważniejsze od życia chciałbym przekazać swoim dzieciom. Chciałbym, żeby one także potrafiły, tak jak młodzi ludzie w tamtych czasach, podjąć decyzję i zaangażować się dla swojej Ojczyzny, by potrafiły zaryzykować swoje życie i zawalczyć o honor i wolność. I choć mam nadzieję, że uda nam się zbudować taką Polskę, w której moje dzieci nie będą wystawione na taką próbę, to jednocześnie uznałbym za największy sukces swojego życia, gdyby taką próbę przeszły zwycięsko [to znany prawnik i publicysta Tomasz Terlikowski]”.

Czytam Zychowicza i Ziemkiewicza z dużą satysfakcją, chociaż wcześniej z rzadka z poglądami drugiego się zgadzałem, bo czuję w ich pisarstwie chęć powiedzenia nam Polakom (przede wszystkim tym z prawej strony naszej sceny politycznej), że „naprawdę wielkie cierpienie wcale nie uszlachetnia, ale wiedzie do załamania woli i nieuchronnego upodlenia. Klęska i nędza nikogo nie uświęcają, ale wystawiają go na pogardę świata. Samobójstwo nie wzbudza powszechnego podziwu, tylko politowanie [Ziemkiewicz]”. Zatem ani klęska kampanii wrześniowej, ani śmierć kilkunastu tysięcy w lesie katyńskim, ani ofiara żołnierzy 2 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, ani tym bardziej hekatomba powstańców warszawskich oraz zamkniętej w mieście ludności cywilnej nie uwzniośliły nas w oczach demokratycznego Zachodu, gdyż nikt na całym świecie nie każe swym obywatelom walczyć

o coś, co i tak nie jest jego (Danzig); nie rozumie bezprzykładnego, szaleńczego zrywu ludzi uzbrojonych tylko w butelki z benzyną i biało-czerwone opaski, którzy rzucili się na uzbrojone po zęby oddziały niemieckie (Warszawa); nie pcha w łapy zbrodniczego systemu stalinowskiego swych najlepszych żołnierzy (akcja „Burza” na Kresach Wschodnich). Lista błędów strategicznych jest znacznie dłuższa, o części z nich będzie jeszcze mowa, nie o licytację na głupie, a nawet zbrodnicze decyzje tu jednak idzie. Decydując się, by mottem swojej książki uczynić słowa Winstona Churchilla – „Nie ma takiego błędu, którego Polacy by nie popełnili”, Zychowicz przekonuje, iż w 1939 oraz 1944 nie byliśmy skazani na klęskę, nasi przywódcy bowiem mieli wybór, mogli zdecydować się na takie sojusze, które zapewniłyby krajowi i narodowi przetrwanie nawet w najtrudniejszym momencie naszej historii. Tymczasem – jak pisze autor – „już od szkolnej ławy wbija nam się do głów, że z klęski tej musimy być dumni. Że nasi ówcześni przywódcy polityczni i wojskowi byli nieomylnymi mężami stanu, którzy podejmowali 'jedynie słuszne' działania. Że nie popełnili ani jednego błędu, nie zrobili żadnego fałszywego kroku, a całe zło, które na nas spadło, jest winą naszych zbrodniczych sąsiadów i wiarołomnych sojuszników” [„Obłęd 44”].

Dla wielu czytelników teza główna „Paktu Ribbentrop-Beck” Zychowicza i „Jakie piękne samobójstwo” Ziemkiewicza może być szokująca. Powiedzenie ludziom, którzy przeżyli wojnę i okupację 1939-45, iż „należało dogadać się z Niemcami i razem z nimi wziąć udział w ataku na Związek Sowiecki”, brzmi nie tylko jak mrzonka, ale nade wszystko jest policzkiem wymierzonym ofiarom obozów koncentracyjnych, łapanek i zbiorowych mordów na okupowanych terenach. Jest w tym świętym oburzeniu dużo racji, ale musimy przyznać rację publicystom, którzy – idąc drogą wyznaczoną przez prof. Pawła Wieczorkiewicza – powtarzają wielokrotnie, że nasz los nie był przesądzony, a z II wojny światowej mogliśmy wyjść jako zwycięzcy. Tymczasem błędne decyzje Józefa Becka, Władysława Sikorskiego czy Tadeusza „Bora” Komorowskiego sprawiły nam krwawą łaźnię, pchnęły w otchłań piekła. To właśnie dzięki politykom, którzy zupełnie rozminęli się z rzeczywistością, zatracili wszelki instynkt samozachowawczy, całkowicie oderwali się od doświadczeń z przeszłości i uznali za fraszkę rację stanu, „Polska w wyniku drugiej wojny światowej – poniosła największą klęskę spośród wszystkich państw, które brały udział w tym konflikcie. Niemcy i Związek Sowiecki eksterminowali nasze elity i zgładzili kilka milionów naszych obywateli. W gruzy obrócona została nasza stolica. A jednak mimo wręcz apokaliptycznej skali tej katastrofy Polacy patrzą dziś na drugą wojnę światową z bezbrzeżnym samo zachwytem [Zychowicz w „Obłędzie 44”].”

Powtórzę raz jeszcze, czytam Zychowicza i Ziemkiewicza z zadowoleniem także dlatego, iż autorzy rozprawiają się z jednym z największych polskich mitów dotyczących drugiej wojny światowej. Według niego naród polski od pierwszego do ostatniego dnia wojny niezłomnie walczył przeciwko dwóm wrogom – Niemcom i Związkowi Sowieckiemu. Oparł się totalitarnej pokusie i – jako jedyny naród okupowany – nie wydał z siebie Quislinga. Czy

jednak możemy ze spokojem patrzeć w lustro, gdyż jesteśmy moralnymi zwycięzcami? – pyta Zychowicz, i udziela odpowiedzi – Niestety nie. „Wcale nie walczyliśmy niezłomnie przeciwko dwóm wrogom. Walczyliśmy niezłomnie tylko przeciwko jednemu wrogowi – Niemcom. Z drugim wrogiem, Związkiem Sowieckim, nie tylko nie walczyliśmy, ale też ochoczo współpracowaliśmy”. Emigracyjny historyk z Wielkiej Brytanii Zbigniew S. Siemaszko dodaje: „Przez całą wojnę – mimo wszystkich bolszewickich zbrodni przeciwko narodowi polskiemu – Polacy próbowali współpracować z Sowietami. Zaczęło się już 17 września 1939 r., gdy Edward Rydz-Śmigły zakazał wojsku podejmować walkę z wkraczającą Armią Czerwoną. Potem w 1941 r. premier Władysław Sikorski podpisał pakt ze Stalinem. Nawet Władysław Anders wierzył, że z Sowietami da się jakoś porozumieć. Na szczęście zmienił zdanie wiosną 1942 r., zabrał manatki i razem z wojskiem wyszedł ze Związku Sowieckiego. [...] Nawet po ujawnieniu zbrodni katyńskiej wiara w możliwość porozumienia z bolszewikami nie straciła jednak dowództwo Armii Krajowej i Stanisław Mikołajczyk. Gdy Armia Czerwona wkroczyła do Polski, oddziałom AK kazano się ujawnić wobec nowego okupanta i udzielić mu pomocy. Wiara Polaków w to, że uda się osiągnąć kompromis ze Związkiem Sowieckim, była podczas II wojny światowej tak bezgraniczna, że to przechodzi ludzkie pojęcie”.

Tutaj pojawia się ważne pytanie: Co zyskaliśmy dzięki takiej postawie wobec – bądź co bądź – późniejszego okupanta. Odpowiedź jest prosta – nic. Ani bowiem nasz wschodni sąsiad nie docenił gestów premierów Sikorskiego i Mikołajczyka, ani zachodni alianci nie nagrodzili swego najwierniejszego sojusznika, wykrwawiającego się od pierwszego do ostatniego dnia wojny. Stalin, po ujawnieniu zbrodni katyńskiej, perfidnie kłamał, a potem obraził się na Polaków, zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem emigracyjnym w Londynie i rozpoczął poszukiwanie ludzi, z których w 1944 r. utworzył zależny od siebie rząd prokomunistyczny (PKWN), a tym samym przekreślił jakiegokolwiek marzenia Polaków o powojennym demokratycznym kraju.

W Teheranie, a potem w Jałcie wymusił na aliantach podział Europy na dwie sfery wpływów. Na mocy porozumień wielkich mocarstw Polska utraciła 1/3 swych przedwojennych terenów, tzn. Kresy Wschodnie, skąd Rosjanie wyrzucili ponad 1,7 miliona ludzi, pozbawiając ich nie tylko dóbr materialnych, ale przede wszystkim przeszłości – obyczajów, tradycji, kultury swoich przodków. Ze wszystkich kierunków przewaliła się wtedy ogromna masa ludzka, której – przy wszelkich różnicach – wspólną cechą było poczucie ogromnej straty, niepewność jutra, tymczasowość i brak dotychczasowych więzi, które scalały jednostki i grupy społeczne.

W „nagrodę” za lata poświęceń i walkę ze wspólnym wrogiem Rosja Sowiecka sprawiła również krwawą łaźnię oddziałom AK, które w czasie akcji „Burza” podjęły walkę z Niemcami o wyzwolenie Wilna, Lwowa czy Lublina, a później ujawniły się przed wkraczającymi wojskami Armii Czerwonej. Żołnierzy i podoficerów wcielano do armii

Berlinga, dowódców aresztowano, by wywieźć ich do sowieckich łagrów. Oddziały niepokorne (WiN, NSZ) zwalczano wszelkimi dostępnymi środkami. „Jako Polak nie potrafię myśleć bez wstydu o 1944 r. – pisze Piotr Zychowicz w „Oblędzie 44”, gdy młodym żołnierzom Armii Krajowej kazano witać na polskiej ziemi chlebem i solą morderców z katyńskiego lasu. Nie mogę myśleć bez wstydu o tym, że 200 tysięcy moich rodaków zostało pogrzebanych pod gruzami stolicy mojego kraju, bo kilku panów wpadło na pomysł, że będą uroczystie witać w Warszawie 'sojusznika naszych sojuszników'. A w rzeczywistości – czego nie mogli lub nie chcieli zrozumieć – największego z wrogów, jakich kiedykolwiek miała Polska: Związek Sowiecki”.

„Nagroda” ze strony Brytyjczyków było natomiast przemilczenie w imię dobrych stosunków ze Stalinem sprawy polskiej, która już wcześniej była dużym problemem dla polityki angielskiej po I wojnie światowej. Symbolem tej polityki po II wojnie było niezaproszenie żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na paradę zwycięstwa, która odbyła się 8 czerwca 1946 r. dla uczczenia zwycięstwa nad Niemcami oraz Japonią. Paradoksem jest, iż na tej samej paradzie z dumą maszerowały oddziały z Czech, Belgii, Brazylii, Meksyku, Grecji, Szkocji, Iranu, Indii, ...Fidzi, Seszeli i Etiopii. Wszyscy, poza Polakami. Byliśmy niepotrzebni, a nawet kłopotliwi, bo byliśmy wtedy już częścią sowieckiego imperium, jak mówi prof. Daria Nałęcz, „Polska jako gracz na arenie międzynarodowej nie istniała”. W zakończeniu swej książki Ziemkiewicz pisze, iż „nieszczęściem Polski w II wojnie światowej, na miarę fartu Belgii w pierwszej, okazało się to, że niestety, naszej bajki do tych wszystkich lepiej lub gorzej klejących się ze sobą bajek światowych dopasować się nie dało. I nikt się zresztą o to nie starał. Gdyby Polska, jak tchórzliwa Francja, zachowała swoje dywizje, swoje znaczenie, gdyby cokolwiek od niej zależało, zabiegano by o nią. Ale co miało Polska po tej wojnie? ‘Kapitał przelanej krwi’?!”. Od siebie dodam, iż to za mało, by myśleć o byciu podmiotem, a nie przedmiotem polityki europejskiej i światowej.

Od siebie także dodam, iż gdybyśmy zachowali się jak nasi bracia Czesi lub wypróbowani sojusznicy Francuzi, dziś być może rozdawalibyśmy karty w strategicznych sprawach środkowej i wschodniej Europie, a jakiś polski odpowiednik marszałka Petaina doczekałby się interesującego filmu dokumentalnego („Petain: Bohater czy zdrajca”, real. Paule Muxel, Bertrand de Solliers, 2010) lub poważnego artykułu w „Uważam Rze Historia” (Piotr [P] Bożejewicz, Petain: Bohater czy zdrajca? W: „Uważam Rze Historia” 2014, nr 8(29), s. 14-17). Zresztą wątpię, by znalazł się w ogóle po latach ktoś, kto chciałby zająć się oceną ewentualnych czynów nieliczących z honorem munduru zwycięskich wojsk polskich, które po raz kolejny zatrzymały nawałnicę „czerwonej zarazy”. Europa byłaby nam wdzięczna po wsze czasy, a nasi prezydenci zajmowałiby pierwsze krzesła w czasie uroczystości w Warszawie, Berlinie, Paryżu i Londynie. To oczywiście scenariusz alternatywny, którego tak nie znoszą zawodowi historycy (poza prof. Wieczorkiewiczem),

nam natomiast pozostaje napawanie się moralnym zwycięstwem powstania warszawskiego w czasie uroczystości ku czci jego 70. rocznicy.

Cieszy mnie pojawienie się książek Piotra Zychowicza i Rafała Ziemkiewicza także dlatego, iż ośmieliły one publicystów w prawniczych czasopismach do zadawania pytań o najtragiczniejsze wydarzenia z naszej historii i jakąś dziwną fascynację Polaków śmiercią, ofiarą składaną z życia współobywateli. Niech czytelnicy pozwolą zacytować w tym miejscu dłuższy fragment tekstu Lecha Mażewskiego – historyka prawa i politologa, autora prac m.in. o Aleksandrze Wielopolskim – który zadaje na łamach „Uważam Rze Historia” 2014, nr 8(29) pytanie, skąd bierze się w społeczeństwie polskim apologia klęski. „I czy nie jest to najlepsza droga do kolejnej klęski?”. Mażewski – zdając sobie sprawę, iż dotyczy spraw trudnych i skomplikowanych – próbuje wyjaśnić ów polski fenomen, spoglądając nań niejako oczyma środowisk postsolidarnościowych, które po 1989 r. nie tylko zmonopolizowały „wpływ na kształtowanie sfery symbolicznej”, ale jako zwycięskie w walce z komunizmem mają poczucie bycia „kolejną zmianą w sztafecie wojny z Rosją”. Publicysta pisze: „Z tego wynikałby święty obowiązek pielęgnowania tradycji powstańczych klęsk jako wyrazu swoiście pojętego patriotyzmu. To mogłoby być klarowne wyjaśnienie, ale do 2004 r. te same siły, decydując o interpretacji ogólnonarodowych symboli, nie organizowały tego typu obchodów. Nie było tak w 1994 r., gdy przypadła bardziej okrągła rocznica wybuchu powstania warszawskiego niż w 2004 r. czy obecnie. Więc co się zmieniło w ciągu tej dekady?”

Cytowany autor jako „sprawcę” wskazuje Lech Kaczyńskiego i ludzi z nim związanych, pisząc, iż „prezydent Warszawy i główny organizator rocznicowych obchodów w 2004 r., odpowiadał na to pytanie, że to ostatnia okazja, aby w należyty sposób uczcić żołnierzy powstania, gdyż niedługo zabierze ich śmierć. Z pewnością jest to prawda, ale wydaje mi się, że wysoce niepełna”. Zgadząc się z publicystą, chciałbym podkreślić, iż nie jest prawdą powtarzane często po 1989 r. twierdzenie o wymazywaniu z pamięci społeczeństwa polskiego bohaterstwa powstańców warszawskich i cywilnych mieszkańców miasta. Po przełomie październikowym 1956 r. w różnorodny sposób oddawano hołd powstańcom i bohaterskiemu miastu w ogóle, odnosząc się krytycznie do samej decyzji o wybuchu powstania. Nie miejsce tu na – chociażby pobieżną – analizę twórczości związanej ze zrywem sierpniowym, zapewnić mogę, iż moje pogłębione kwerenda potwierdza wielkie zainteresowanie filmowców, pisarzy, muzyków czy palstyków i niezwykłą estymę wobec tematu. „Kanał” Andrzeja Wajdy czy „Kolumbowie” Janusza Morgensterna to tylko dwa wybitne przykłady spośród wielu filmów fabularnych, telewizyjnych, dokumentalnych, spektakli teatralnych czy widowisk poetyckich. Na marginesie wspomnieć muszę, że po 1956 r. próby przesuwania akcentów (w powstaniu walczyli przede wszystkim dzielni chłopcy z AL) pojawiały się sporadycznie, gdyż trudno było wmówić społeczeństwu rzeczy, o których ono doskonale wiedziało z autopsji lub rodzinnego przekazu. „Innymi słowy – pisze Lech

Mażewski – nie chodziło przyszłemu prezydentowi RP o uczczenie uczestników wydarzeń lata 1944 r., a o stworzenie mitu powstania. Na narodowym piedestale miałby stanąć jednak nie mit powstańczy jako taki, a wyłącznie byłaby to apologia zrywu antyrosyjskiego.

Mylili się zatem przeciwnicy Lecha Kaczyńskiego, twierdząc, że [...] szło głównie o zbliżające się wybory prezydenckie [...] Myślę, że chociaż Paryż wart jest mszy, to jednak rozpoczęcie na taką skalę gry z antyrosyjskim patriotyzmem Polaków musiało mieć poważniejsze przyczyny niż tylko chęć zaspokojenia ambicji prezydenckich [...].”

Tutaj dochodzimy – zdaniem autora – do sedna sprawy. „Jasełka – to dobre określenie. Chodzi mi właśnie o taki sposób odwołania się najpierw przez Prawo i Sprawiedliwość, a teraz przez ogół klasy politycznej, do patriotycznych emocji mas, że inaczej niż jasełkami nie można tego nazwać. Akurat świetnie do tej roli nadaje się apologia powstańczych klęsk w walce z Rosją. W wersji, którą zaprezentowano nam w trakcie obchodów 60. rocznicy powstania warszawskiego, nie ma żadnej głębszej refleksji o położeniu geopolitycznym Polski. Jest jedynie przekonanie o niezawinionej klęsce, za którą odpowiedzialność ponoszą wszyscy – poza przywódcami podziemia, którzy 31 lipca 1944 r. wydali fatalny w skutkach rozkaz o podjęciu walki o stolicę. I o to w gruncie rzeczy chodzi. Przywołanie zaś tradycji zwycięskich powstań (antypruskiego i antyniemieckiego) byłoby niebezpieczne z tego względu, że tam nasze powodzenie wynikało właśnie z poprawnej kalkulacji politycznej i z właściwego rozumienia kontekstu geopolitycznego, w jakim znajdowała się ówczesnie sprawa polska”.

Jako puentę potraktujmy jeszcze jeden fragment tekstu Mażewskiego. „Pamiętajmy za Józefem Szujkim – pisze autor „Apologii klęski” – że fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki. Polski patriotyzm nie może sprowadzać się do apologii powstańczych klęsk w walce z Rosją. Powstańcom należy się szacunek, ale przywódcy, podejmujący błędne decyzje wojskowe czy polityczne, zasługują jedynie na postawienie przed sądem, jak w przypadku zrywu warszawskiego chciał tego gen. Władysław Anders. Niech będzie to chociaż sąd potomnych, jeśli na proces przed innym trybunałem jest już za późno”. Na marginesie warto dodać, iż także gen. Anders ma co nieco „za uszami” – dla wielu historyków nasz udział w bitwie o Monte Casino to także świadectwo szaleństwa politycznego i militarne. Czerwone maki u podnóża pięknego klasztoru niekoniecznie musiały być zroszoną polską krwią (wszystkich sceptyków i miłośników twierdzeń o konieczności poniesienia wielkiej ofiary, by świat o nas nie zapomniał, odsyłam do klasycznego trzypomowego reportażu „Bitwa o Monte Cassino”, napisanego przez Melchiora Wańkowicza w Rzymie i Mediolanie w latach 1945-1946).

Oczywiście, cytowany przeze mnie w dużej ilości tekst publicysty „Uważam Rze Historia” nie jest głosem całej prawicowej części naszego społeczeństwa. Trzeba uczciwie powiedzieć, iż jego głos znajduje się nadal w mniejszości. Świadectwem tego może być dyskusja Joanny Fedyszak Radziejowskiej i Piotra Zaremby w wieczornym programie TV



Republika z okazji 70. rocznicy powstania. Bardzo łatwo obydwójgu dyskutantom przychodziło lekceważąco komentować wypowiedzi przedstawicieli środowisk lewicowych („Z takimi panami jak Blumsztajn nie warto nawet polemizować, bo – wiadomo – jaką oni tradycję reprezentują”), dużo trudniej przychodziło odnieść się do książek ludzi ideowo bliskich, takich jak Zychowicz właśnie czy Ziemkiewicz. Bardzo ciekawą teorię zaprezentowała na przykład dr Fedyszak Radziejowska – sposób formułowania tez w tych książkach – usłyszeliśmy – dosadny język, zdecydowane, a nawet okrutne sądy to z pewnością świadomy zabieg, by odnieść sukces finansowy. „Lewicowy czytelnik chętnie taką książkę kupi”. Piotr Zychowicz i Rafał Ziemkiewicz są na tyle doświadczonymi polemistami, że łatwo poradzą sobie z tak merytoryczną krytyką ideowej koleżanki. Co do tego jestem całkowicie pewny.

\*\*\*

Skoro już wiemy, iż fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki oraz to, że Polacy popełnili między 1939 a 1945 r. wszystkie z możliwych błędów, spróbujmy je wskazać i nazwać. Nie po to, by pastwić się nad kimkolwiek, wskazując go z imienia i nazwiska, ale dla zrozumienia zjawisk kierujących naszym życiem zbiorowym. Także dla naszych następców, a dziś uczniów, którzy dopiero wkraczają w dorosłe, świadome życie, oczekując od nas objaśnienia trudnych problemów. Właśnie im jesteśmy winni pogłębiony dyskurs, by mogli w przyszłości kierować państwem skutecznie, nie narażając nikogo na niepotrzebne cierpienie. By wybierali drogę wskazaną przez przywódców pierwszej Solidarności, a nie organizatorów i dowódców Powstania Warszawskiego. Uprzedzając nieco tok tej opowieści, powiem, iż wzorować się powinniśmy na Stefanie Kisielewskim, który miał odwagę tuż po wojnie, w skrajnie niesprzyjających okolicznościach, napisać tekst zatytułowany „O odwiecznym konflikcie polskim (w 2. rocznicę powstania narodowego)”. Uczyc się od Kisielewskiego odwagi myślenia i tą odwagą zarażać młodszych.

Katalog błędów kardynalnych i grzechów głównych, popełnionych w latach trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku, które do dziś oddziałują negatywnie na nasze społeczeństwo – o czym wiedzą doskonale historycy, ale wiedzieć powinni także „zwykli” ludzie – zacząć należy od grzechu pychy. Ktoś, kto – na przykład – choć raz dokonał kwerendy czasopism ukazujących się w dwudziestoleciu międzywojennym, przyznać musi, iż Polacy byli jednym z najbardziej wyniosłych narodów europejskich, pozostawiając daleko za sobą nawet dumnych synów Albionu. Wiara we własną wartość i możliwości, wyniosłość, wynikające z nadmiernie wysokiej samooceny, towarzyszyły niemal w każdej sytuacji tak w życiu jednostkowym, jak i społecznym, politycznym. Polska była mocarstwem – o tym wiedziało nawet małe dziecko – a zatem powinnością jej obywateli, a także władz, stało się utrwalanie tego pięknego wizerunku. Po zwycięskiej wojnie polsko-bolszewickiej, po

odrzuconiu w 1920 r. zagonów sowieckich daleko na wschód byliśmy potęgą, która budowała nie tylko podstawy nowoczesnej armii i gospodarki, ale także miała stać się hegemonem na terenach rozciągniętych między Bałtykiem i Morzem Czarnym. „Polska zawsze marzyła o tzw. Międzymorzu, czyli bloku państw pomiędzy Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem – mówi Ziemowit Szczerek, autor książki „Zwycięska Polska” – w którym Rzeczpospolita pełniłaby rolę hegemonu. Blok taki miał być alternatywą dla tradycyjnie dominujących w regionie Rosji i Niemiec, także Turcji. Tyle tylko, że pomysł taki podoba się głównie Polakom. Polska, niestety, nie jest krajem specjalnie atrakcyjnym dla regionu. Jesteśmy często postrzegani jako państwo zacofane, bigoteryjnie religijne, mało atrakcyjne kulturowo... częściowo jest to wina stereotypu, ale ten stereotyp znikąd się nie wziął”.

No właśnie, cały problem w tym, iż tylko my podkreślaliśmy – i podkreślamy do dziś – naszą siłę i atrakcyjność dla innych narodów. W rzeczywistości Polska borykała się z całą masą problemów związanych z zapóźnieniem cywilizacyjnym różnych części kraju, wynikających z konieczności scalenia w jeden organizm terenów znajdujących się w trzech zaborach, walki ze skutkami wielkiego kryzysu gospodarczego.

Wyrazem naszej mocarstwowości było w latach poprzedzających II wojnę światową przekonanie o konieczności prowadzenia przez nasz kraj polityki kolonialnej. Dziś niejeden z czytelników uśmiechnie się z politowaniem na myśl o planach kolonialnych, ale w październiku 1930 roku, nikt się nie śmiał, gdy powołano Ligę Morską i Kolonialną, której nazwa odpowiadała mocarstwowym ambicjom wielu urzędników MSZ i polityków wszystkich ugrupowań. Nikt nie śmiał się, gdy rok wcześniej (23 marca 1929 r.) Senat przyjął rezolucję, w której wezwał „Rząd by poczynił odpowiednie starania celem uzyskania kolonii dla Polski”. Polacy marzyli o koloniach i żądali dostępu do nich, choć nie dysponowali ani odpowiednią flotą, ani wykwalifikowanymi kadrami, a tym bardziej kapitału do prowadzenia normalnej działalności gospodarczej oraz wymiany handlowej.

I tu dochodzimy do problemu Gdańska, który pojawił się na początku tego tekstu. Miasto to było ważnym elementem w planach tworzenia potęgi morskiej i kolonialnej kraju, którego cała linia brzegowa nad Bałtykiem liczyła zaledwie 147 km (łącznie z Mierzeją Helską). To prawda, że Danzig (Gdańsk) był dla Polski w okresie międzywojennym oknem na świat, oknem niestety stale i systematycznie zamykającym się na skutek polityki niemieckiej. Ważnym portem, ale nie jedynym. Wszak właśnie uniezależnienie się od gdańszczan leżało u podstaw decyzji o budowie Gdyni. Należy w tym miejscu powiedzieć po trzykroć: Gdańsk nie był miastem polskim, gdyż, po pierwsze, zamieszkiwało w nim tylko 10% Polaków, a co ważniejsze – nie znajdowało się nawet w granicach naszego państwa! Nie przeszkodziło to naszym przedwojennym przywódcom, przedstawicielom partii politycznych, mediom wytworzyć przekonania o niezwyklej wręcz znaczeniu tego miasta, przekonania, iż będziemy go bronić do ostatniej kropli krwi, „nie oddamy nawet guzika”, a jak będzie trzeba, polegniemy z dumą na dnie „naszego morza” (to deklaracja ze znanej piosenki).

Problemem przedwojennej Polski było to, iż wychowała ona kilkanaście milionów megalomanów, rojących sobie, iż już niebawem osiągniemy szczyt naszej potęgi, zapanujemy nie tylko nad Międzymorzem, ale także zdobędziemy kolonie. W tym chorobliwym stanie ducha (urojenia wielkościowe to zaburzenia o charakterze psychotycznym) społeczeństwo dęło w surmy bojowe, zamiast oddelegować swych przedstawicieli do poważnych rozmów na temat prawdziwego i – oczywiście – korzystnego dla nas uregulowania statusu Gdańska, osiągnięcia jak najlepszych warunków funkcjonowania w mieście i porcie, wykorzystania ich potencjału do tworzenia zamożności całego kraju. Tymczasem Polacy woleli utrzymywać ten powersalski dziwołąg „wręcz groteskowy i całkowicie anachroniczny, jakby żywcem wzięty ze średniowiecza, gdy jeszcze nikt nie słyszał o czymś takim jak narody” [Zychowicz], dziwołąg będący kością niezgody i powodem ciągłych niesnasek. Dla zdroworoządkowo myślących ludzi wnioski z analizy sytuacji wokół Wolnego Miasta mógł być tylko jeden – robić wszystko, by – przy współdziałaniu sojuszników – wyjść z gdańskiego klinczu z jak największymi konfiturami, a nie – w psychotycznym szale, krzyknąć, iż ten straszny dyktator „wyciąga swe brudne łapska po nasze miasto”. Ale człowiek, społeczeństwo, które pozostaje w stanie długotrwałej gorączki, nigdy nie wykazuje się rozsądkiem, co pokazaliśmy pięć lat później, doprowadzając do wybuchu powstania w Warszawie. Ziemkiewicz pisze: „Jego [Becka] nieustępliwość wobec Hitlera w sprawie Gdańska wynikała, jako się rzekło, z polityki wewnętrznej. Reżim mający przeciwko sobie silną opozycję, a pozbawiony autorytetu swego twórcy, który tylko w części zastąpić można było legendą, żeby trwać, potrzebował wojenek. Taką wojenką było Zaolzie, taką wojenką było spacyfikowanie Litwy Kowieńskiej i taką samą wojenką, stoczoną bez jednego strzału, miało być też ‘danie nauczki’ przy pomocy aliantów zachodnich Niemcom, pokazanie, że mocarstwu, jakim jesteśmy pod rządami Mościckiego, Rydza, Becka, niczego nie można dyktować i że nie da się ono ‘odepchnąć od morza’, będącego drogą do kolonii, których domagało się karmione absurdalnie mocarstwową propagandą społeczeństwo”.

Pozostańmy jeszcze w latach trzydziestych ubiegłego wieku i zwróćmy naszą uwagę na kolejny problem związany z polskim grzechem pychy. Chodzi mi mianowicie o ówczesny system szkolnictwa. Niejednokrotnie spotykamy się z twierdzeniem, iż to właśnie międzywojenna szkoła wychowała najwspanialsze pokolenie, które potrafiło „pięknie żyć i pięknie umierać”. Nie odbierając nikomu ani cząstki zasług – bohaterstwa, nieugiętości, poświęcenia, trzeba powiedzieć, iż zadaniem szkoły nie jest przygotowywanie kogokolwiek do umierania, ale do odnoszenia zwycięstw – tych małych, codziennych, i tych wielkich, geopolitycznych. Zadaniem szkoły jest uczenie postaw racjonalnych, współdziałania, rozwiązywania problemów na zasadzie consensusu, zgodnego współistnienia z innymi, tworzenie na wspólnych wartościach, kierowanie wzroku ku przeszłości, by budować przyszłość. Niestety, moi poprzednicy miast uczyć krytycznego i zdroworoządkowego myślenia, wzięli udział w tworzeniu polityki mocarstwowej, wychowali pokolenie „świętych

szaleńców” składających tysiącami ofiarę na ołtarzu mitów narodowych, którzy „szli na Germańca jak do tańca”.

W przekazie propagandowym byliśmy mocarstwem, w rzeczywistości państwem na dorobku. Choć w wielu dziedzinach znajdowaliśmy się w czołówce ówczesnych państw Europy („Byliśmy państwem nowoczesnym – uważa prof. Paweł Wieczorkiewicz – które tkwiło głęboko w Europie, które wprowadzało już przy rozwoju przemysłu technologie nowe i najnowsze. Przypomnę eksport samolotów. Polskie myśliwce były w połowie lat 30-tych najlepsze na świecie, bombowce Łoś – w 1939 roku najlepsze na świecie, samochody bojowe – bardzo dobre, parowozy – świetne, działka przeciwlotnicze itd. Nie będę wymieniał tych produktów. To był najwyższy standard światowy, uzyskiwany także dzięki polskiej myśli technologicznej”), w żadnej mierze jednak nieprzygotowanym do prowadzenia wojny na dwóch frontach (rzadko które państwo do takiej wojny jest przygotowane). Polska nie potrafiła nade wszystko prowadzić polityki międzynarodowej zapewniającej bezpieczeństwo naszych granic. Nadal byliśmy „wersalskim bastarden”, dziwnym tworem między Niemcami i Rosją, który należało zetrzeć z mapy Europy dla jej dobra. To tezy pojawiające się w książkach Piotra Zychowicza i Rafała Ziemkiewicza, z którymi zgadzam się w całej rozciągłości.

Arealizm to – moim zdaniem – drugi z błędów kardynalnych, jakie popełnili nasi poprzednicy. Wiara w złudne, niczym nie poparte, sojusze, brak realizmu w podstawowych dziedzinach działalności MSZ, trzymanie się Francji i Anglii, niezdecydowana postawa wobec Niemiec, lekceważące stanowisko wobec Rosji Sowieckiej, mocarstwowa postawa wobec Czechosłowacji i Litwy, wszystko to doprowadziło do wybuchu II wojny światowej, zdecydowało, iż przegraliśmy, zanim wojna się rozpoczęła. Polska stanęła nieprzygotowana nie tylko do wojny z jednym wrogiem, ale do wojny z dwoma wielkim przeciwnikami i – jak się szybko przekonaliśmy – zostaliśmy zmiażdżeni, a terytorium naszego państwa podzielone między sąsiadów. Pozostało tylko biadolenie na wiarołomstwo sojuszników zachodnich i płacz z powodu „czwartego rozbioru kraju”.

Przegraliśmy kampanię wrześniową, nie potrafiliśmy wygrać także wielkiej kampanii lat 1940-44. Ani Władysław Sikorski, ani tym bardziej Stanisław Mikołajczyk nie doprowadzili polskiej polityki do punktu, kiedy moglibyśmy powiedzieć, iż Polska znalazła się wśród beneficjentów tej wojny, a danina polskiej krwi zaowocowała sukcesami dyplomatycznymi. Stało się wręcz odwrotnie. Uwierzywszy Anglosasom, prowadząc politykę uległości wobec nich, a co za tym idzie, prowadząc politykę ugodową wobec stalinowskiego imperium, nasi przywódcy pozbawili nas suwerenności, wolności i niepodległości na długich ponad czterdzieści lat.

Chcę być dobrze zrozumianym, nie kieruje mną zaślepienie w krytyce rządów i społeczeństwa przedwojennego i rządu emigracyjnego. Choć wychowałem się w czasach PRL-u, nie kierują mną również względy agenturalne. Nie jestem zwolennikiem pisania i

roztrząsania scenariuszy alternatywnych, gdyż wolę zastanawiać się, dlaczego tak było, a nie jak mogło być. Uprowadzając znów nieco tok tej opowieści, powiem, iż idzie mi o naukę dla mnie i moich uczniów płynącą od tak mądrych ludzi jak Mackiewiczowie, Kisielewski czy Wieczorkiewicz.

Stefan Kisielewski pisał, a ja kiedyś wziąłem sobie jego słowa do serca i często je powtarzam: „Polak rodził się na ‘ziemi mogił i krzyżów’, z wszczepioną już od dzieciństwa ideą walki, zemsty, nienawiści, z poczuciem krzywdy i pragnieniem wolności. Pragnienie to najszczytniejsze ze wszystkich, lecz konsekwencje jego w naszych warunkach i na naszym terenie – często doprowadzały do samobójczego błędnego koła. Znowu byliśmy w walce ze wszystkimi, opętani mitem nacjonalizmu i mocarstwowości, a w rzeczywistości będąc krzywdzonym, pozbawionym państwa pariasem narodów; tragiczna dysproporcja mitu i realności – tragedia, na którą byliśmy skazani bez własnej winy. Tragedia absurda, wynikła ze splotu wielu okoliczności, wbrew naszemu typowi intelektualnemu, wbrew naszym dyspozycjom, wbrew naturze naszych uzdolnień i talentów. W istocie przecież Polak nadaje się do współżycia z obcymi, najlepszy wskaźnik – kultura – zaświadcza, że jesteśmy narodem, którego twórczość rozwija się zawsze w bezpośrednim związku z ogólnym życiem kulturalnym Europy, nawet w zależności od niego, pomimo niewątpliwego piętna polskiego temperamentu narodowego, jakie naszą sztukę cechuje. Mimo tych dyspozycji i uzdolnienia, nasza sytuacja polityczna kształtowała się zawsze według wskazań patriotyzmu maksymalistycznego, którego stopień żarliwości czynił zeń niemal narodową religię. Ten przerost żarliwości, zaciemniającej realne i chłodne na świat spojrzenie był a rebours rezultatem wielowiekowych klęsk, nieszczęść, upokorzeń, zmarnowanych wysiłków i kataklizmów – lecz tenże przerost uniemożliwiający trzeźwą ocenę sytuacji – powodował nowe klęski, których jakże tragicznym przykładem było Powstanie Warszawskie.” I dalej: „Konflikt polski – to konflikt zamierzeń i uczuć z otaczającą, konkretną rzeczywistością. ‘Mierz siły na zamiary’ – niebezpieczne to hasło. Niebezpieczeństwo rozumieli wielcy nasi realści polityczni, nawołujący do rozsądku, do obniżenia lotu – w imię życia. Bowiem idealizm Polski stawał się często – apologią narodowego samobójstwa. Bezwzględna prawda zwyciężyła na Sądzie Ostatecznym – na ziemi może zwyciężyć fałsz i siła zła – z tym się trzeba liczyć. Z tym liczyli się polscy realści, których linia ideowa biegnie również nieprzerwanie przez dzieje polskiej myśli politycznej. Lecz – oto paradoks – ci myśliciele i politycy działali zwykle wbrew przekonaniu i uczuciom dynamicznej większości narodu – byli odosobnieni, bo choć realści, na naszym terenie stawali się utopistami, nie mogąc nic zdziałać, nie mogąc opanować psychiką mas.

Utopistą był ten, co chciał działać wbrew masie i jej uczuciowym nawykom; popełniał błąd każdego wynalazcy, który się dziwi, że ogół nie uznaje jego wynalazku, choć on sam nic nie zrobił, aby ten wynalazek spopularyzować. Prawdziwy realista racjonalista musi wziąć pod uwagę jako realny czynnik arealizm i aracionalizm masy, wśród której działa – inaczej

jest tylko pseudorealista. Realisci nasi, zapatrzeni w nowe i na naszym terenie rewelacyjne prawdy, nie widzieli nastawienia otaczającego ich ogółu, nie liczyli się z nim, nie umieli go zmienić, nie umieli pozyskać sobie zaufania i popularności. I dlatego stawali się – w rzeczywistości – odosobnionymi, niepopularnymi maniakami czy fantastami; zaś istotni utopiści, uczuciowcy i nastrojowcy, zyskując poparcie masy – stawali się chwilowo realistami, dostawali w ręce siłę. Irracjonalizm triumfował, rozsądek stawał się fikcją. I tak trwała polska tragedia polityczna, tragedia konfliktów i antynomii konfederacji targowickiej i barskiej, Wielopolskiego i Traugutta, Dmowskiego i Piłsudskiego. Ostatnim aktem tej tragedii dwóch koncepcji, które zamieniły się rolami, było – Powstanie Warszawskie”.

Słowa te pisał człowiek do głębi dotknięty tragedią powstania, człowiek odważny, który świadom był wagi słów spisanych zaledwie dwa lata po wielkiej hekatombie narodowej. Śmiało patrzący w twarz owym irracjonalistom, utopistom, uczuciowcom i nastrojowcom, zyskującym poparcie mas. Powiedzenie bowiem dziś tych słów nic nie kosztuje, w momencie gdy komuniści rozpoczynali ostatni akt krwawej rozprawy z niepodległościową opozycją, stanowiło wręcz akt bohaterstwa.

Co zatem byłoby dowodem realizmu naszych przedwojennych elit politycznych? Z pewnością nie wystawianie się na pierwsze uderzenie silnego, agresywnego i zdeterminowanego sąsiada. W odróżnieniu od Zychowicza i Ziemkiewicza uważam, iż tylko sojusze z państwami zachodnimi mogły odmienić nasz los. Ale sojusze uczciwe, z twardo postawionymi warunkami, które każda z umawiających się stron nie tylko akceptowałaby, ale musiała wypełnić. Na takie porozumienia nie było już czasu wiosną i latem 1939 r., bo żadne – nawet najbardziej sprawne – państwo, nie jest w stanie zrealizować w ciągu kilku miesięcy ogromnego kontraktu na dostawy uzbrojenia. Tymczasem szef polskiego MSZ Józef Beck przyjął papierowe gwarancje bez mrugnięciem okiem, co więcej z dumą obnosił ten dokument jako świadectwo zwycięstwa mocarstwowej Polski, z którą – jakoby – liczyli się wszyscy najmożniejsi przywódcy ówczesnego świata. Była zatem szansa na to, by pokazać Hitlerowi, że broń i wyposażenie wojenne dostarczane są rzeczywiście do naszego kraju, że porozumienie polityczne przekute może być na konkretną pomoc. Tylko taka polityka Rydz-Śmigłego i Becka mogła doprowadzić do zmiany sytuacji geopolitycznej w Europie, a co za tym idzie odsunięcie groźby wybuchu wojny. Niestety zwyciężyli po raz kolejny „utopiści, uczuciowcy i nastrojowcy”, ci, co „guzika nie oddadzą”, bo oznaczałoby to splamienie dumy i honoru Polaka. Polityka gry na dwóch fortepianach – dążenie do realizacji twardych sojuszy z państwami zachodni, przede wszystkim Francją i Anglią, przy jednoczesnym dogadywaniu się z Niemcami, by nie dopuścić do ich porozumienia z ZSRS, to – moim zdaniem – jedyna sensowna droga działania ówczesnych polskich elit rządowych. Do tego dojść powinna taktyka „kupowania czasu”, za wszelką cenę odsunięcie od Polski chwili ataku Wermachtu, chwili, która – zdaje się – była nieunikniona. Czas ten potrzebny był na zakończenie procesu uzbrojenia i dozbrojenia naszej armii.

Jeśli już przegraliśmy pierwszą bitwę – kampanie wrześniową – to naszym obowiązkiem było uczynienie wszystkiego, by nie doprowadzić do totalnej zagłady całych grup społecznych. Tego jednak nie zrobiono, gdyż nasi przedwojenni sojusznicy, którzy we wrześniu 1939 r. nie kiwnęli palcem, by nam pomóc, a którzy znów decydowali o naszym losie w latach 1940-1945, wymuszali na gen. Sikorskim, a później na premierze Mikołajczyku uległość wobec „sojusznika naszych sojuszników”, a naszego śmiertelnego wroga. Na koniec daliśmy się ponownie zwieść obietnicom uregulowania sprawy polskich granic nawet wtedy, gdy tajemnicą poliszynela stało się porozumienie zawarte przez trzy największe mocarstwa w Teheranie. Objawem zupełnego oderwania się od rzeczywistości było w ostatnich okresie wojny przygotowanie i wdrożenie planu powstania powszechnego, którego częścią miało być powstanie w Warszawie.

Jeśli mówimy o Powstaniu Warszawskim, to dochodzimy do ostatniego z grzechów, który w tym tekście próbuję przeanalizować. Grzech ten nazywa się głupota (świadomie używam tego słowa, bez omówień czy synonimów łagodzących jego znaczenie). Decyzja o wybuchu Powstania Warszawskiego – pisze to z ciężkim sercem – była skrajną głupotą. Nieodpowiedzialnością było także zaplanowanie i wdrożenie w życie planu „Burza”, rozwiązanie Armii Krajowej, „rozładowywanie lasów” w 1945 r. ... Właściwie żadna z decyzji kierownictwa Państwa Podziemnego z lat 1944-1947 nie zasługuje na akceptację, gdyż każda z nich przydawała zniszczonemu i uciemżonemu społeczeństwu kolejnych cierpień.

Myślę, iż szkoda silić się na przemądrzałe komentarze lub analizy, jeśli samemu nie przeżyło się tamtych dni. Chciałbym zatem oddać głos człowiekowi najbardziej kompetentnemu – Janowi Nowakowi Jeziorańskiemu – emisariuszowi Komendy Głównej Armii Krajowej i rządu RP w Londynie. Słynny „kurier z Warszawy” mówił Andrzejowi Wajdzie w filmie zrealizowanym w 2004 r.: „Wiedziałem jeszcze sprzed wyjazdu do Londynu, że dowództwo podziemia żyje w oderwaniu od rzeczywistości. Im się zdawało, wszystkim się zdawało, że Polska jest pępkiem świata, że Anglicy są wpatrzeni w Polskę. Audycje BBC zawierały nieproporcjonalną porcję wiadomości z Polski i o Polsce, powstawało więc złudzenie, że to rząd brytyjski tak myśli.

Spółeczeństwo nie słuchało Radia Moskwa, słuchało Londynu. Prasa komunistyczna – kto ją by czytał, nikt by jej nie dotykał... Ale dowództwo podziemia zaczynało dzień od nasłuchu Radia Moskwa, radiostacji Związku Patriotów Polskich i tej podziemnej literatury, którą produkowała PPR. I oni się bali, żeby nie potwierdzić propagandy, że chcą stać z bronią u nogi, że nie chcą atakować Niemców. [...]

Panowało ogólne przekonanie, że Niemcy są już niemal w rozsypce. Byłem zupełnie nieświadomy, że są jeszcze zdolni do jakiejś kontrofensywy, że cała najlepsza dywizja pancerna została przerzucona z frontu włoskiego i znajduje się już w Warszawie, co kompletnie zmieniało układ sił. [...]

Nie miałem odwagi, żeby im powiedzieć: ‘Nie róbcie powstania’. Jedną rzecz wiedziałem na pewno: że Anglosasi nie pospieszą z pomocą. I na tym się skoncentrowałem. Byłem bardziej pesymistyczny, aniżeli przyszłość okazała. Może zrzuty miały charakter symboliczny, nie mogły przeważać sytuacji, ale jednak były.

Powiedziałem im [dowódcom AK]: ‘Nie liczcie na nic, tam [na Zachodzie] jest w ogóle od ośmiu do dziesięciu maszyn, które są zdolne docierać do Polski i wracać, i jeszcze mniej załóg. Nie widzę możliwości jakiegokolwiek masowej operacji zrzutu broni i amunicji’. Chciałem za wszelką cenę rozwiać złudzenia.

Dlaczego to nie odniosło skutku? [Dowódca AK] Bór-Komorowski powiedział [potem]: ‘Pan przed nami stanął w chwili, kiedy już wszystkie decyzje były nie tylko podjęte, ale już w toku realizacji. O tym, żeby można było ludzi czekających w bramach, na klatkach schodowych odesłać do domu, poprosić, żeby oddali broń do magazynów, mowy nie było. Tak że to, co pan mówił, nas przygnębiało, ale nie było w stanie czegokolwiek zmienić, bo pan przyjechał za późno’.

Przegadałem nie wiem ile godzin z Okulickim [pierwszy zastępca szefa Sztabu Komendy Głównej AK] po powstaniu. Nie było w nim żadnych osobistych ambicji. Była jego natura, to był w gruncie rzeczy Kmicic. Nieprawdopodobnie odważny człowiek, który uważał, że jest żołnierzem i że trzeba się bić.

Przed upadkiem powstania byłem przerażony jego beztrąską. Ginie wielkie miasto, stolica, płoną archiwa, muzea, dziedzictwo i ten człowiek – był w takim niezgrabnym jakimś mundurze uszytym ad hoc dla niego – mówi do mnie, że za kilka dni czy za tydzień ‘Warszawa klapnie’. I zrobił ten ruch (Nowak-Jeziorański uderza dłońmi w uda). [...]

Wśród aliantów dominowała jedna myśl: bez udziału Sowietów nie wygramy wojny. I temu podporządkowane było wszystko. Celem była bezwarunkowa kapitulacja Niemiec. Cena, zwłaszcza kosztem Polski, nie grała żadnej roli. Była determinacja, żeby na tle konfliktu o Polskę nie doszło do osłabienia współpracy wojennej ze Stalinem, który nieustannie szantażował [Zachód] odrębnym pokojem z Niemcami. Obawa przed tym odrębnym pokojem paraliżowała jakiegokolwiek plany działania, choćby dyplomatycznego nawet, w obronie Polski. Już nie tylko w obronie granicy, ale w obronie samej Polski.

Do dzisiejszego dnia jestem przekonany, że Rosjanie byli już tak blisko i mieli tak ogromną przewagę... Na podstawie tego, co dziś wiemy ze źródeł niemieckich i sowieckich, wynika, że mogli iść dalej, ale wstrzymali ofensywę.

Tragiczną rolę odegrał tu, niechcący zupełnie, Stanisław Mikołajczyk, który nie rozumiał polityki Stalina. Był przekonany, że rzeczywiście Stalinowi chodzi o to, żeby mieć przyjazny rząd w Warszawie. I on uważał, że będzie mógł taki przyjazny rząd zmontować i że trzeba tylko przekonać Stalina o jego gotowości współpracy i wszystko będzie załatwione. Tymczasem Stalinowi chodziło o zniszczenie, likwidację, i kiedy z ust najbardziej miarodajnych usłyszał: ‘Panie sekretarzu, za dwa, trzy dni wybuchnie powstanie’, to była dla



niego rewelacja. Trzeba w takim razie wstrzymać pochód [za Wisłę], niech się Polacy wykrwawiają; musiałbym robić masowe aresztowania i wywózki, a tak Niemcy nas wyręczą. Ten moment rozmowy Mikołajczyka ze Stalinem miał skutki absolutnie katastrofalne dla Polski.

Nie mówię tego, by oskarżać Mikołajczyka, poza jedną rzeczą: on się zupełnie nie orientował w intencjach człowieka, z którym rozmawiał. Nie miał zielonego pojęcia, do czego Stalin naprawdę zmierza, ale dał mu klucz do sytuacji”.

Nie mniej krytycznie o decyzjach i ludziach je podejmujących mówi Stanisław Likiernik – żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego, pierwowzór (obok Krzysztofa Sobieszczańskiego) tytułowego bohatera powieści „Kolumbowie. Rocznik 20” Romana Bratnego, na podstawie której powstał serial o tym samym tytule. Likiernik: „Na dwa dni przed postanieniem przyszedł do mnie Roman Mularczyk, późniejszy pisarz Roman Bratny i mówi: ‘Jak zrobimy powstanie to Stalin się zatrzyma i poczeka aż Niemcy nas wykończą’. A ja na to: ‘Roman, skoro ty to wiesz, to nasi szefowie nie mogą zrobić powstania bez jakiejś koordynacji z Rosjanami’. A ta koordynacja była niemożliwa. Stalin zacierał ręce, bo Niemcy wykonali za niego brudną robotę, zamordowali najlepszych młodych ludzi, którzy byli przeciwko niemu, miasto zostało zrównane z ziemią. Być może od początku miał taki plan, choć z nim nie rozmawiałem, żeby później Polacy zamiast się buntować, mieli zajęcie przy odbudowie Warszawy. Na nim to nie robiło wrażenia, skoro Leningrad, Stalingrad i dziesiątki innych radzieckich miast zostały zburzone, to czemu nie Warszawa.

[...]Krytykuję gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka” i płk. Antoniego Chruściela „Montera” za to, że parli do powstania, zamiast słuchać płk. Kazimierza Iranka-Osmeckiego „Hellera”, który był szefem wywiadu i miał najlepsze informacje. Albo płk. Janusza Bokszczanina „Sęka”, który mówił, że sam początek sierpnia to za wcześnie, że owszem, Rosjanie doszli do Wisły, ale trzeba działać, kiedy będą ją przekraczać i nie będą mogli zawrócić. Bo jeśli walki zaczną się wcześniej, Stalin będzie czekał aż miasto się wykrwawi. Gen. Tadeusz Bór-Komorowski twierdził, że było już za późno, że powstania nie można było odwołać. [...] To nieprawda, byliśmy żołnierzami, byliśmy zdyscyplinowani, można było zaczekać. Powstanie powinno być zacząć się co najmniej 10 dni później. Mam pretensję o to, że na skutek tej decyzji zginęła najbardziej dynamiczna młodzież, a ci, którzy przeżyli byli więzieni, albo musieli wyjechać za granicę. Cała generacja została zmarnowana, wytrzebiona w pień. Oni powinni być budowniczymi, a nie nieboszczykami, którym się oddaje hołd.”

Cytowany wcześniej Zbigniew S. Siemaszko mówił: „W swojej nowej książce staram się zidentyfikować moment, w którym kierownictwo Armii Krajowej od rozumowania racjonalnego i logicznego przeszło do rozumowania irracjonalnego i emocjonalnego. Wygląda na to, że nastąpiło to 20 lipca 1944 r. po zamachu na Adolfa Hitlera. Dzisiaj opowiada się bajki, że oficerowie Komendy Głównej wydali rozkaz o wywołaniu powstania, bo chciały tego rwąca się do walki młodzież czy dyszący żądzą odwetu lud Warszawy. W

rzeczywistości podczas podejmowania decyzji te czynniki nie były brane pod uwagę. Tych spraw nie rozważano i się nimi nie przejmowano. Nastrój ulicy i dołów organizacji nie miały żadnego znaczenia. Jedyną kwestią, którą rozpatrywano na naradach Komendy Głównej AK, było to, czy bolszewicy przyjdą powstaniu na pomoc, czy nie. Pułkownik Janusz Bokszczanin ostrzegał, że liczenie na pomoc wroga to absurd, ale niestety go nie słuchano. Przeważało zdanie Rzepeckiego, Okulickiego i Chruściela, którzy mówili, że sowiecka odsiecz przybędzie na pewno”.

Jeśli nie jest to opis głupoty lub choćby braku zdrowego rozsądku czy obezwładniającej dezynwoltury u ludzi, którzy trzymali w ręku los przyszłych powstańców, to co? Nie mam w tym przypadku żadnej wątpliwości, iż nikt z głównych person dramatu (Okulicki, Komorowski, Pełczyński) nie zasłużył na rozgrzeszenie. Na pewno nie rozgrzeszy ich 15 tys. poległych żołnierzy AK ani tym bardziej blisko 200 tys. ofiar cywilnych, o których za chwilę.

W 1970 r. na półkach księgarskich w komunistycznej Polsce ukazał się niezwykle pamiętnik – „Pamiętnik z powstania warszawskiego” Mirona Białoszewskiego. To jedna z trzech (obok opowiadań Tadeusza Borowskiego z tomu „Pożegnanie z Marią” oraz „Medalionów” Zofii Nałkowskiej) najwybitniejszych książek o wojnie i okupacji, jakie ukazały się po 1945 r. „Pamiętnik” jest dziełem „pisarza osobnego”, autora niezwykle wierszy i sztuk teatralnych wystawianych w Teatrze na Tarczyńskiej, a potem w jego prywatnym mieszkaniu (Teatr Osobny), homoseksualisty, człowieka idącego zawsze pod prąd modom i trendom literackim, nieschlebiającego żadnej koterii, a tym bardziej władzy. Książka Białoszewskiego musiała czekać dwa lata, by wreszcie autor mógł ją zobaczyć w znanej nam formie, gdyż nie mieściła się ona w kanonie pisarstwa o powstaniu. Nie było w niej patosu, dęcia w surmy bojowe, martyrologii czy bohaterszczyzny, były natomiast osobiste przeżycia i doświadczenia autora z ruin i piwnic warszawskich, przeżycia zaszczytów i nie myślących logicznie współtowarzyszy niedoli. „Pamiętnik” Białoszewskiego to opis świata, w którym wszystko straciło swoje dawne znaczenie – dawne formy współżycia zbiorowego ustąpić musiały innym, zastępczym formom i rytuałom, które oparte było na woli przetrwania za wszelką cenę. Ludzie stłoczeni w piwnicach czy ruinach budynków zdegradowani zostali i zmuszeni do walki o byt, a nie myślenia o bohaterstwie czy heroizmie. Cztery cytaty, żadnego komentarza, bo wydaje mi się zbędny:

*Ojciec swoją drogą robił różne interesy przedziwne. Raz przytachał z Kercelaka na Leszno, jeszcze na czwarte piętro, cały koszt kartofli. Zgnile. Zmarznięte. Ale to i tak było drogocenne. Nanka, Ojciec, Mama, Sabina pamiętali z zeszłej wojny, że z takich zmarzniętych kartofli można robić placki kartoflane. Zrobili, i były dobre. Kiedy indziej Ojciec kupił na takiej licytacji lodówkę. Mama i Stefa dziwiły się cały czas, po co. Bo była zepsuta. Albo wchodzi kiedyś na Chłodną i ma cały płaszcz rybek, takich malutkich. Tak bez niczego. Na podołku. Przeciekają. Mówi Mamie, żeby zrobiła z tego kotlety. Mama zrobiła. Ale ile ich wyszło! Na wszystkie parapety. [...]*

*Rano — od początku: słońce, upał, dymy, samoloty, bombardowanie, pali się. Ciągłe przypominam. Jeżeli kto chce sobie wyobrazić trzy niszczenia Warszawy, wrzesień 1939, powstanie w getcie, od 19 kwietnia gdzieś do 20 maja, i powstanie warszawskie 1944, to wszystkie były właśnie w tych słońcach, upałach, paleniach, samolotach. Upał, to słońce i niebieskie niebo zmaglowane z pożarami, dymem, hukiem, zasypaniem, to jeszcze dodawało temu, w co i tak trudno było wierzyć, chociaż było, czegoś egzotycznego. Czyli dodatkowego trojenia się w głowie.*

*Więc — od rana to. To już były te dni, kiedy co godzinę, co pół godziny coś się zawałalo koło nas, bliżej, dalej, wyżej, zasypywało. Część się ratowała, jak mogła. Jedni drugich jak mogli, odgrzebywali. Co pewien czas do naszych schronów wchodziłi nowi ludzie. Osypani jeszcze tynkiem, z tobołami, bez tobołów, bez niczego, z dziećmi, z rodzinami, samotni. Wchodziłi. Wlatywali. Przyjmowało się wszystkich. To było oczywiste. Coraz ciasniejsze ławko-prycze. Szare światło z okienka. Jeszcze luźno. Potem wchodzią, coraz nowi i nowi. Po ileś razy na dzień. Już zbombardowane Rybaki 23, to przejście. Już Mostowa ileś. Już Kościelna ileś. Już Rybaki za Kościelną. Już Bolesć.[...]*

*Nagle takie huki, wstrząsy, że lecimy na dół. Zbombardowanych przybywa. Wszystko siwe. Od gruzu. Zadymione. Ciotka Józia, Stefa, Mama uważają, że ta piwnica słaba, dom z desek, trzciny z wapnem i z cegieł tylko. A sąsiednia — 51 — kleinowskie sklepienia — nowy dom, nie otynkowany jeszcze. Przenosimy się szybko dziurami, podziemiami. Tam tłumy. Siedzą na betonie. Mokrym. Po kątach karbidówki. Mama, ciotka Józia i Stefa zdejmują z siebie bety, rozkładają się na jakimś wolnym kawaleczku. W tym tłumie. Harmider. Huki, pociski, bomby nie do wytrzymania. A najgorsze, że idą ci Ukraińcy. I rzną. Wszystkich. Wciąż o tym mówią. Ludzie. Po dwudziestu latach — właśnie teraz, w 1964 i 65 roku — podano dokładne liczby od świadków z obydwóch stron. Nasze pisma dały wykazy, ile rozwalono ludzi na samej Woli w samą sobotę i niedzielę, 5 i 6 sierpnia. Kilkadziesiąt tysięcy osób. Niektóre niedostrzeliwane podpalono razem z tamtymi niby-zabitymi. Rzucalo się ich na wspólne stosy. Ze szpitala Świętego Stanisława, róg Wolskiej i Młynarskiej (teraz Szpital Zakaźny nr 1), rozstrzeliwali i wyrzucali żywcem chorych przez okna na dziedziniec. Tam podpalali, jak szło.*

*Żywych czy nie. Zagrzebywali na miejscu. Też tak jak szło. Jako dziennikarz w 1946 roku byłem wysłany na moment ekshumacji. Zajechałem z fotoreporterem. Weszliśmy na ten dziedziniec. Trzy czy cztery rzędy wygrzebanych świeżo, obrośniętych ziemią bezkształtnych brył. Kojarzyło mi się to z różnościami. Z kotletami w bułce i utyłanymi w czymś. Jeden pamiętam naprawdę z kością, jedną, wystającą. Reszta utyłana. [...]*

*To była sobota. Jeszcze tłukli; w mózdzierze, w „krowy” (bomby — nie); w nocy też — nie pamiętam co, przywykło się. A mieszkało się w betach w piwnicy pod potęgą secesji, pod tym ‘kredensem’ — Wilcza 23, który dotrwał, dostał do dziś. Rano doskwierało. Słońce. Dalej. Bez zmian. Suche lato. I była niedziela. O czym nikt nie wiedział. Dziś też nie. Wiedziało się natomiast, że to już październik. Październik... Październik... Niesamowite. Trzeci miesiąc? Trzeci. To który dzień? Sześćdziesiąty drugi. Ale nagle wtedy rano wszystko ucichło. Duży front był cicho. Niemcy cicho. I my*

*cicho. Cisza. Taka, jakiej nie było od 1 sierpnia. Czy żeśmy już przedtem wiedzieli, czyśmy się od razu domyślili, czy błyskawiczne ogłoszenie, że zawieszenie do nocy i że pertraktacje? Chyba ogłoszenie. A więc koniec? Właściwie? Wiadomo, że jak pertraktują, to się zgodzą. Wierzyło się, że nic złego nas nie czeka, chciało się w to wierzyć, bo się miało dosyć i powstania, i wojny w ogóle, i nienawiści, i zabijania, i ginięcia. Nagle —zachciało się —wszystkim —żyć! Żyć! Iść! Wyjść! Popatrzeć! Na słońce. Normalnie.*

*I naraz zaczęli ze wszystkich piwnic, lochów, dziur wszyscy wychodzić. Na ulice! Ani to żaloba. Ani święto. Nie wiadomo co. Wszystko naraz. Po prostu wylegnięcie narodu na wierzch.*

Opowieść Mirona Białoszewskiego nie pozostawia złudzeń co do istoty powstania, szkoda tylko – mimo iż jest lekturą szkolną – tak niewielu z nas sięga po nią w chwili dyskusji o zrywie sierpniowym. Gdyby choć kilku – rozgrzanych emocjami publicystów – chciało zanurzyć się w świecie przedstawionym przez Białoszewskiego, nie pojawiałyby się takie deklaracje jak cytowana na początku Tomasz Terlikowski. Bo – powtórzę to raz jeszcze za Rafałem Ziemkiewiczem, „naprawdę wielkie cierpienie wcale nie uszlachetnia, ale wiedzie do załamania woli i nieuchronnego upodlenia. Klęska i nędza nikogo nie uświęcają, ale wystawiają go na pogardę świata. Samobójstwo nie wzbudza powszechnego podziwu, tylko politowanie”.

\*\*\*

Jeśli czytelnikowi jeszcze nie dość przykładów na nasze narodowe winy, to proponuję, byśmy przez chwilę przyjrzeni się temu wszystkiemu, co działo się w pierwszych miesiącach po przejściu frontów. Dawna Warszawa i Gdańsk już nie istnieją. Co prawda odbudowane zostaną za jakiś czas stare dzielnice obydwu miast, ale zabity został ich klimat. Kultura. Duch miejsca – to coś, o czym pisali Julian Tuwim i Tadeusz Dołęga Mostowicz, Paweł Huelle i Günter Grass. Skutkiem naszych grzechów, o których pisałem wcześniej, była również zagłada Kresów Wschodnich – z tak pięknymi i prawdziwie polskimi miastami jak: Wilno, Lwów, Grodno, Stanisławów, Kamieniec Podolski.

Gdy na gruzach Berlina zwycięzcy żołnierze armii sowieckiej zatykali swe czerwone sztandary, gdy 8 i 9 maja 1945 r. w Reims i Karlshorst dowódcy niemieccy składali podpisy pod aktami bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy, a oddziały krasnoarmiejców szykowały się do wielkiej defilady zwycięstwa na placu Czerwonym w Moskwie, ze wschodu na zachód kursowały już transporty wiozące ludzi przesiedlanych z terenów Kresów Wschodnich na Dolny Śląsk, Ziemię Lubuską i Pomorze. Z południa na północ i na odwrót przemieszczały się dziesiątki czy setki tysięcy ludzi wyrzuconych z własnych domów. Z obozów jenieckich i kacetów szli rozbitkowie, okaleczeni przez okrutny system hitlerowski ludzie zlagrowani,

marzący nie tylko o odnalezieniu swoich najbliższych, ale także żądni zemsty na niedawnych jeszcze oprawcach.

W bydłych wagonach, „z trumienkami dzieci na ich dachach”, w strasznym ścisku, brudzie, często bez wody i żywności jechali ku nieznannej przyszłości przesiedleńcy z Wileńszczyzny, Wołynia i Podola – ludzie, którzy cudem wyrwali się z rąk sowieckich, pozostawiając za sobą dorobek kilku pokoleń poprzedników, w nadziei, iż na nieznanym lądzie uda się stworzyć choćby namiastkę dawnego normalnego życia. Perfidią Sowietów było nazywanie repatriantami wyrzucanej przez nich z Kresów polskiej ludności, gdyż w istocie mieliśmy do czynienia z deportacjami, czyli przymusowymi wysiedleniami lub przesiedleniami. W czasie PRL-u tę narrację podtrzymywano i do dziś w potocznym przekonaniu ludzie z Kresów to po prostu repatrianci, czyli osoby powracające do kraju po długim pobycie na obczyźnie.

Ze zniszczonych w bezprzykładny sposób miast Polski (przede wszystkim zrujnowanej Warszawy) szły tłumy w kierunku tzw. Ziemi Odzyskanych – Dolnego Śląska, Ziemi Lubuskiej, Pomorza Zachodniego, Prus Wschodnich. Powstańcy warszawscy i zwykli mieszkańcy miasta – przeżywszy w pierw koszmar niemieckich działań wojennych i akcji pacyfikacyjnej, a potem obozów przejściowych w podwarszawskich miejscowościach (szczególnie w Pruszkowie), obozów koncentracyjnych, przymusowych robót w Rzeszy – pozostawieni bez jakichkolwiek środków do życia próbowali znaleźć spokojną przystań w świecie, o którym można było powiedzieć wszystko, oprócz tego, iż był spokojnym. Warto w tym miejscu nadmienić, iż na szlaku wielkiej powojennej wędrówki znalazło się – według danych szacunkowych – ponad 650 tysięcy warszawiaków i mieszkańców okolicznych miejscowości, 1 mln 700 tys. obywateli Kresów Wschodnich, którzy spontanicznie uciekali przed ofensywą sowiecką, wcieleniem do armii Berlinga lub czystkami etnicznymi, a także stali się ofiarami skoordynowanej akcji wysiedlania ludności pochodzenia polskiego prowadzonej przez sowiecki aparat represji. Do tego dochodzą ofiary akcji „Wisła” (około 140 tys.), rekrutujące się spośród Ukraińców, Bojków i Łemków zamieszkujących południowo-wschodnie tereny dzisiejszej Polski, a związanych z Ukraińską Powstańczą Armią. Nie czas tutaj na szczegółową analizę tego wydarzenia, jego przyczyn, przebiegu i skomplikowanych uwarunkowań, należy jednak powiedzieć, iż przynajmniej część ludności objętej akcją „Wisła” nie miała nic wspólnego ze zbrodniami UPA, mimo to znalazła się w wielkim tyglu wysiedlonych ze swoich stron rodzinnych, przez co zniszczone zostało dziedzictwo kulturowe Roztocza, Pogórza Przemyskiego, Bieszczadów i Beskidu Niskiego.

Jeśli o winie ludności pochodzenia ukraińskiego można długo i zażarcie dyskutować, wystrzegając się oskarżania jej *en bloc* o wspieranie działalności ugrupowań nacjonalistycznych, o tyle sprawa z ludnością autochtoniczną zamieszkującą Prusy Wschodnie czy Pomorze Środkowe i Zachodnie oraz Dolny Śląsk jest znacznie prostsza, choć nie pozbawiona elementu dramatycznego. Wrocław, Szczecin, Kołobrzeg czy Gdańsk trudno

nazwać miastami polskimi, a zabiegi czynione przez propagandę PRL-u, by pokazać ich polskość za żalosne i nie mające jakiegokolwiek umocowania w faktach historycznych. Tereny te – jak już wspomniałem wcześniej – stały się zadośćuczynieniem za utratę przez Polskę Kresów Wschodnich (według badania opinii publicznej, przeprowadzonego w 2007 przez Instytut Pentor dla tygodnika „Wprost”, 52,2% Polaków nadal uważa Kresy Wschodnie z Wilnem i Lwowem za ziemie polskie, w tym 51% badanych w wieku poniżej 29 lat). W pierwszych latach po zakończeniu działań wojennych dobrowolnie lub przymusowo Ziemie Odzyskane opuściła większa część ludności pochodzenia niemieckiego, ale także Ślązacy czy Mazurzy, także ci, którzy przed wojną opowiadali się za polskością, agitowali w plebiscytach za Polską, a gdy trzeba było, stawali do walki w powstaniach. W drugiej połowie lat 40. na równi z Niemcami stali się obcy, niechętnie widziani przez nowych gospodarzy terenu jako element niepewny, który współpracował z dyktaturą hitlerowską.

I jeszcze jedna grupa narodowościowa wypełnia tę układankę, na którą składają się wypędzenia, przesiedlenia oraz deportacje. Na szlakach komunikacyjnych, w małych miastach oraz dużych ośrodkach miejskich w latach 1944-45 pojawiali się Żydzi uratowani z Holocaustu, ocaleni – także dzięki poświęceniu ich polskich sąsiadów – przed obozami koncentracyjnymi i dołami śmierci. Z nędznych nor, ciemnych kanałów, chłopskich stodół wychodzili ludzie okaleczeni nie tylko fizycznie, ale nade wszystko psychicznie – pozbawieni całego kulturowego backgroundu, nieufni wobec otoczenia, pełni żalu do świata, który nie robił nic, by pomóc im w chwili „ostatecznego rozwiązania”. W przypadku Polski było to szczególnie bolesne dla obydwu stron – ocaleni Żydzi chcieli widzieć często tylko mur niezrozumienia i obojętności, Polacy natomiast odczuwali z ich strony brak wdzięczności za poświęcenie, którego trudno by szukać w innych krajach europejskich.

W tym tyglu narodowościowym, w tyglu ludzkich losów – indywidualnych i zbiorowych – nic nie było ani proste, ani jednoznaczne, a wiele zjawisk, które wtedy miały swój początek, do dziś jest tematem zażartej dyskusji, równie ważnej co odkrywanie białych plam. Mam tu na myśli m.in. problemy: zniszczenia polskich Kresów Wschodnich, „wypędzenia” Niemców, wielkiego szabru po wkroczeniu armii sowieckiej na tereny Polski i Ziem Odzyskanych, adaptacji przesiedleńców do nowego życia, wreszcie wielkiej i niezabliźnionej rany, jaką jest wzajemny stosunek Polaków i Żydów po Holocaustcie.

Jeśli zatem ktokolwiek będzie odrzucał od siebie bez głębszej refleksji myśl, iż Polska miała wybór i mogła z II wojny światowej wyjść bez tych wszystkich strat, o których mówi się nie tylko w tym tekście, niech wspomni także los przesiedleńców z terenów wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, naszych rodaków – lwowiaków czy wilniuków: prawników, naukowców, profesorów wyższych uczelni, artystów, urzędników i ziemian, ludzi o starożytnych korzeniach i wielkiej kulturze, którzy wspominali później, iż: „wyrzucano nas z domów jak bydło, kradziono nasz cały majątek, domy, biblioteki, muzea, zbiory, zabytki, dorobek stuleci, mienie prywatne, ale przed światem Sowietów tworzyli pozory, że to my

‘wyjeżdżamy do Polski’, zgodnie z własnym przekonaniem, że miasto [Lwów] się słusznie Sowiecom należy” [cyt. za: Joanna Wieliczka-Szarkowa „Czarna księga Kresów”].

\*\*\*

Na koniec ważna i – jak myślę – budująca refleksja dotycząca współczesności. W ciągu dwóch ostatnich stuleci społeczeństwo polskie popełniło aż nadto wiele błędów (niektórym poświęciłem ten tekst). Jest nadzieja, iż nareszcie poszliśmy po rozum do głowy i już rozumiemy, czego nie powinniśmy robić, a co jest naszą racją stanu. Nadzieję tę czerpię z analizy zachowania przywódców przynajmniej części środowisk pierwszej Solidarności, którzy „często z zaciśniętymi zębami” (to cytata z Andrzeja Celińskiego) podejmowali decyzje niepopularne, idąc wbrew oczekiwaniom mas związkowych, zachowując zdrowy rozsądek, w trosce o zachowanie substancji narodowej. Skutkiem takiej polityki umiaru i porozumienia stało się zwycięstwo w wyborach czerwcowych 1989 r., a potem przejęcie władzy, umożliwiające wybranie prezydenta w wolnych wyborach oraz stworzenie wolnej i suwerennej Rzeczypospolitej.

Ziemkiewicz i Zychowicz powtarzają, że Polska w 1939 r. miała alternatywę i nie musiała walczyć z Hitlerem, co doprowadziłoby do uratowania jej państwowości. Jest to oczywiście teza godna rozpatrzenia. Błyskotliwe książki obydwu panów w sugestywny sposób tę tezę uzasadniają. Mam jednak obawę, że autorzy takiej polityki spotkaliby się z podobną krytyką jak „architekci kompromisu z Magdalenki” – do końca życia chodzić musieliby z piętnem zdrajców narodu, którzy zapredali Polskę obcemu mocarstwu. Warto pomyśleć także o tym, czytając książki Piotra Zychowicza i Rafała Ziemkiewicza w przededniu rocznic Powstania Warszawskiego i kampanii wrześniowej.

*Pleszew, sierpień 2014*

*Janusz M. Lewandowski*